

Michael Dana Gioia

Słowa

Świat nie potrzebuje słów. Wyraża się sam
w promieniach słońca, liściach, cieniach.
Kamienie na ścieżce są tak samo rzeczywiste, kiedy leżą
nieskatalogowane i niepoliczone. Liście mówią płynnie jedynie
dialektem czystego bytu. Pocałunek wciąż jest w pełni pocałunkiem,
choć nie padły żadne słowa.

Jedno słowo zaś wystarczy, żeby przemienić go
w coś o mniejszym czy innym znaczeniu –
zakazany, niewinny, beznamiętny, małżeński, ukradkowy.
Więcej nawet, nazwanie go pocałunkiem lekceważy drżenie dłoni
muskających skórę i chwytających za ramię,
niespieszne uginanie szyi bądź kolana, ciche dotykanie języków.

Jednakże kamienie pozostają mniej rzeczywiste dla tych,
którzy nie potrafią ich nazwać ani odczytać niemych sylab
wyrzuty w krzemionce. Widzieć czerwony kamień to mniej
niż zobaczyć go jako jaspis – metamorficzny kwarc,
kuzyn krzemienia, z którego plemię Kiowa wykuwało groty strzał.
Nazywać znaczy wiedzieć i pamiętać.

Słońce nie potrzebuje pochwały za przebijanie deszczowych chmur,
malowanie światłem skał i liści, a wreszcie za rozpraszanie
każdej świetlistej kropli z powrotem do chmur,
które ją zrodziły. Światło dzienne nie potrzebuje pochwały,
a my wciąż je wysławiamy – wspanialsze niż my sami
i wszystkie ulotne słowa, które przywołujemy.

Przesłuchania w południe: Wiersze, 2001